

STEPY.

POEMAT

PRZEZ

G. L.

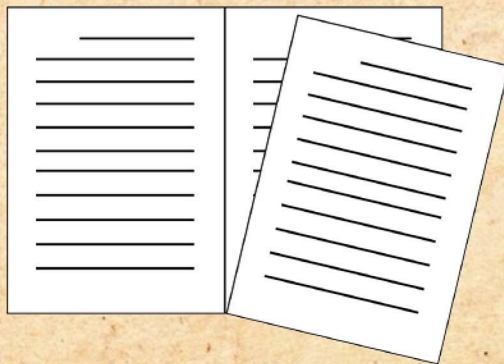
(Autora Kirgiza.)

POZNAŃ.

NAKŁADEM KSIĘGARNI JANA KONST. ŻUPAŃSKIEGO.

1856.

JK



W woluminie kolejno współprawne sygnatury:



odręczny spis treści



227829 I

227830 I

BIBLIOTEKA UNIW. W POZNANIU



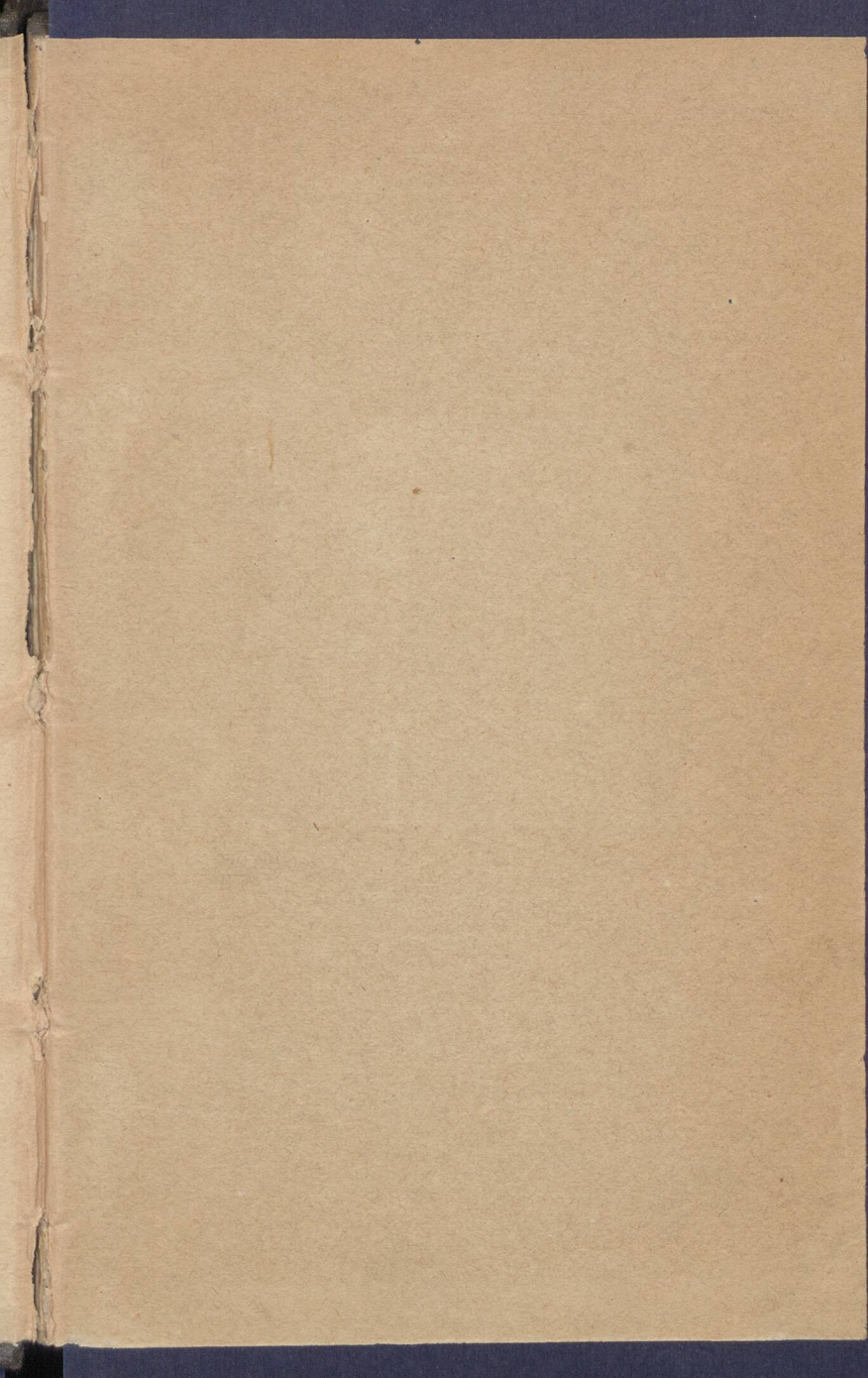
227830

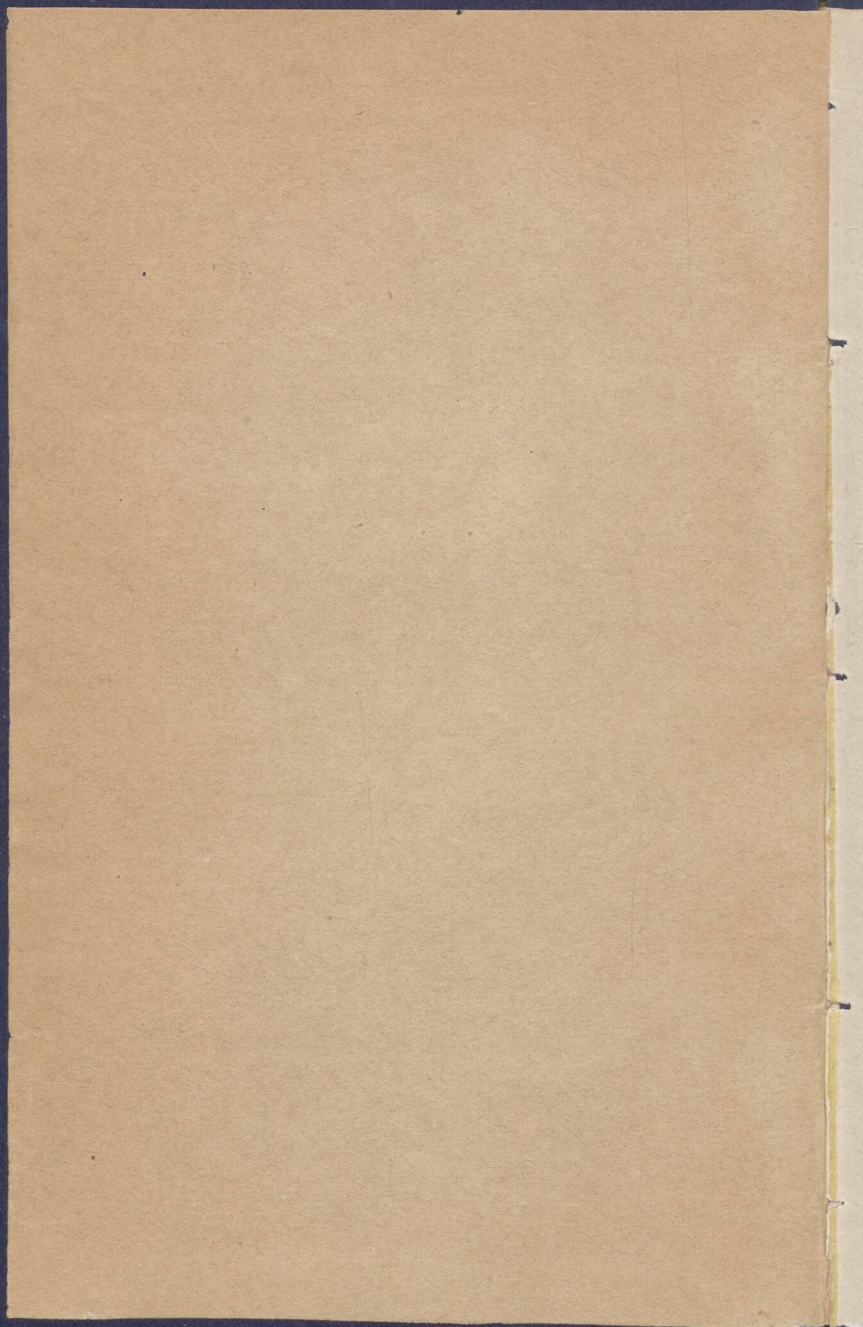
227829

Wypożycza się
tylko do czytelní

124







Handwritten text, likely a signature or title, appearing upside down. It includes the word "Lectura" and some illegible characters.

STEP.

G. Ł.

Gustaw Zieliński



STEPY.



POEMAT

PRZEZ

G. L.

(Autora Kirgiza.)



POZNAŃ.

NAKŁADEM KSIĘGARNI JANA KONST. ŻUPAŃSKIEGO.

1856.

72



227 829. I.



Poznań, czcionkami M. Zoerna.

1950.0a.3064

WSTĘP.

„**A**by pojąć śpiewaka, trzeba zwiedzić kraj jego pieśni,“ powiedział Sziller.

Wprowadzając czytelnika w świat zupełnie dlań obcy, tysiącami mil odległy, powierzchnią swoją, kolosalną przyrodą, nieledwie niebem, tak różny od codzienn widzianego, który, pomimo licznych prac i badań najnowszych orientalistów, dotąd jeszcze dokładnie zbadanym i poznanym nie został, nie uważam za zbyt zbytecznym, krótkim wstępem poemat mój poprzedzić.

Nie góry Uralskie, ani rzeka Wołga stanowią konieczną granicę pomiędzy Azją i Europą, ale typ odmienny ludów, jedną i drugą część świata zamieszkujących. Religia, a następnie z niej wyrobiona cywilizacya jest głównym punktem wyjścia tych różnic. Dwie idee główne, jakkolwiek w niektórych szczegółach do siebie zbliżone,

a w ostatecznych rezultatach całkiem odmienne, przyświecają dwom tym cywilizacyom, to jest: Chrystjanizm i Brahmanizm. W pierwszej ruch, postęp, udoskonalenie; w drugiej bezwładność, strupieszalność i skończoność. Niegdyś Azya cywilizowała Europę, później jęj hordy jak chmury szarańczy nalatały na Europę i jęj posady wstrząsały — dziś cywilizacya Europy dwoma olbrzymiemi ramionami: Rosyą od północy, Anglią od południa obejmuje i oddziaływa na cywilizacyą Azyi i do swoich ją form nagina. Czy cywilizacya Azyi oprze się tym potężnym działaniom, czy znajdzie dość sił żywotnych w samej sobie, aby się w inną, zgodniejszą z pojęciami ludzkości przerodzić i wysnuć ją z siebie samej, czy téż ostatecznie przyjmie formy i rozwój chrześcijański, to jest zadanie przyszłości i dzieło wieków następnych.

Islamizm, na pograniczu dwóch tych idei stojący, który z jednej strony wiele pierwiastków chrześcijańskich przyjął do swęj nauki, a z drugiej strony wciągnął w siebie barwy i bezwładność wschodu, uważać należy jako ideę przejścia, którą prędzej czy później z ideami wschodu lub zachodu zlać i połączyć się musi. Jaki będzie ostateczny wyraz téj walki dwóch cywiliza-

cyi — niewiadomo, ja w prostocie ducha wolę wierzyć słowom ewangelii: że przyjdzie kiedyś czas, gdzie będzie tylko jeden pasterz i jedna owczarnia.

Nie o całej Azji mam zamiar tu mówić, ale o małej części tego lądu, a przecież obszernością wyrównywającej Niemcom i Francyi razem wziętym.

W środkowej Azji, pomiędzy Rosyą i Chinami, posuwając się ku południowi aż do 42. stopnia szerokości geograficznej, jest kraj rozległy, znajomy pospolicie pod imieniem: Tartaryi niepodległej.

Dwa łańcuchy gór: na wschodzie Altajski, na zachodzie Uralski, stanowiące naturalne kraju tego granice, licznemi odnogami w jego środek zstępują i formują mniej więcej wyniosłe pasma, z jednym lub z drugim górnym wiążące się systematem.

Kraj ten, niczem niepodobny do któregośkolwiek z krajów europejskich. Południową jego część zalegają piaszczyste pustynie: Karakum i Kizil-kum; w języku ludu: głodnym stepem nazwane. Środkowa, począwszy od morza kaspijskiego aż do jeziora Bałcharz, jest ciągiem nieprzerwanym jezior słonych, lub gorzko-sło-

nych, z których większe, na wzór morza, pochłaniają w siebie rzeki i rzeczki w różnym kierunku płynące, mniejsze, w części lub w całości zarosłe sitowiem, stanowią jakby zielone Oazy wśród piaszczystych pustyni i bezpłodnych sołończaków, i to naprowadziło badaczy przyrodzenia na domysł, że cała ta przestrzeń była niegdyś dnem jednego, rozległego Oceanu. Nareszcie część północna bogatsza w wegetacyą, oroszona rzekami na północ płynącemi, w równe, okiem nieprzejrane rozwija się stepy.

Kraj w ogóle biedny, bezwodny, bezleśny, wystawiony na najsrozsze zmiany temperatury, gdzie zimą obok trzydziesto-stopniowych mrozów Kuragany śnieżne, od końca do końca zamacają cały ten obszar, gdzie latem przy pięćdziesiąt-stopniowym upale, ziemia się trzaska w głębokie rozpadliny, w których gad i ptastwo szuka przed skwarem schronienia.

Kraj ten, pomimo ruin rozproszonych wśród obszarów i świadczących, że był niegdyś przez ludy więcej ucywilizowane osiadły, obecnie żadnych stałych siedlisk nie posiada, bo zamieszkały jest przez Kirgizów. Naród wędrowny, koczowniczy, pasterski, naród silny, zdrowy, roz-

rosły, wytrwały na trudy, ale nieokrzesany, barbarzyński, wpół dziki.

Historia nie wysledziła dotąd początku Kirgizów; zdaje się przecieź, że są odroślą jednego z tych licznych plemion Azji środkowej, które w wieku XIII. naszej ery, siłą czy dobrowolnie dostawszy się pod władzę Czyngis-Hana, zawojowały z nim całą Azją, i zapuściły swoje zagony aż w środek Europy, pod ogólném nazwiskiem Mongołów.

Po rozpadnięciu się państwa Czyngis-Hana, którego pamięć do dziś dnia przechowuje się pomiędzy starszyzną kirgizką, a szczególnie téż po rozproszeniu się Złotój hordy, występują Kirgizy jako naród samoistny, niepodległy, wyznający religię Machometa.

Naród ten wybiera sobie hanów, dzieli się na hordy: wielką, średnią i małą. Te hordy dzielą się na rody, zawiadywane przez starszych, to jest: sułtanów i bejów z pomiędzy siebie wybranych, a żyjących w ustawicznej wojnie z swoimi sąsiadami, w ciągłych walkach i nieporozumieniach pomiędzy sobą.

Z ich kilkowiekowej historii żadnym pomnikiem piśmiennym nie uwiecznionej, zaledwie kilka imion występuje, których pamięć w obcych hi-

storyach lub w podaniach dotrwała, to jest: Arstan-Hana, jednego z najpotężniejszych władców kirgizkich, który mógł 400,000 wojska wyprowadzić do boju, jak o tém świadczy padyszach Baber, założyciel państwa wielkiego Mogóła w Indyi. Hana Irzyma, któren w połowie siedemnastego wieku przy pomocy Chińczyków pobił i wytepił cały naród Ziungarów, należących do plemienia mongolskiego. Nareszcie Hana Tiawka prawodawcy tych plemion koczowniczych.

Han-Tiawka był wnukiem Irzyma i chociaż nie miał zupełnej władzy nad swoim narodem, przecież rozumem, sprawiedliwością i sztuką dokazał tyle, że pozyskał wpływ na hordy kirgizkie, że wstrzymał od krwawych zatargów zawzięte pomiędzy sobą plemiona, że słabsze rody połączył w jeden, aby się mogły łatwiej obronić mocniejszym, mocniejsze siłą upokorzył, nareszcie dał prawa, podług których wymierzał im sprawiedliwość. Szkoda tylko, że z śmiercią Tiawki wszelkie jego postanowienia poszły w zapomnienie.

Dopiero w połowie zeszłego wieku przez wzmagającą się potęgę Rosyi zagrożeni od północy utratą stepów, jedyne bogactwa dla ich pasterskiego bytu, od południa ściśnieni w swych wymianach handlowych przez silniej uorganizo-

wane państwa turkestańskie, nareszcie potrzeba szukania opieki słabszych plemion od przemocy mocniejszych i osobiste widoki niektórych zwierzchników sprawiły: że Kirgizy uznali się za poddanych okrążających ich narodów, mała tylko część i to głębiej w kraju koczująca, znajoma pod nazwiskiem: Dnibo-kamiennych Kirgizów, dawną swą niezawisłość zachowała.

Wprawdzie to poddaństwo było dotąd więcej pozorne niż rzeczywiste. Życie nieosiadłe, rozległa przestrzeń kraju, brak siły, któraby wszystkie plemiona w równej zawisłości utrzymała, są powody, że nie tylko pojedynczy, ale całe plemiona wymykają się z pod poddaństwa jednego kraju, aby żyć niezawisłe w jakim zakątku obszerniej swój ojczyzny, lub też chwilowo inną dzierzawę przyjąć poddaństwo.

Kirgizy jako naród na najniższym dopiero stopniu cywilizacji stojący, mają wszystkie wady ludów, które się z dzikości nie otrzęsły, są chciwi, nieszanujący cudzej własności, niedotrzymujący słowa, mianowicie innowiercom, leniwi, w zemście okrutni; za to gościnni, miłosierni dla biednych, odważni niekiedy do zuchwalstwa, przywiązani do swego pustynnego kraju i przekładający życie biedne, koczownicze, pełne trudów

nad wszelkie rozkosze i przyjemności osiadłego żywota.

Charakterystycznym jednak rysem ich obyczajów jest: Baranta, to jest nocne pochwycenie jeden drugiemu całych stad i tabunów koni. Baranta początkowo miała pozór pewnej zemsty legalnej, zastępowała brak ustaw i sprawiedliwości, następowała za wyrokiem sędziów czyli starszych i to tylko w tym razie, gdy winowajca odmówił zadosyćuczynienia poszkodowanemu. — Obecnie zmieniała swój charakter, każdy poszkodowany, okradziony lub niezadowolniony zbiera bandę najeźdźników, napada na Auł swego przeciwnika i odgania mu stada bydła i tabuny koni. Napadnięty zbiera znów swych przyjaciół i sąsiadów, broni się przeciw napaści lub gdy się czuje słabszym, czeka sposobnej chwili, aby nawzajem nieprzyjacielowi jego stada i tabuny zabrać. Nierzadko przy tych nocnych wyprawach następują zacięte walki, krew bywa przelana, lub też napastnik uganiając dobytek, dla zatarcia śladu zapala stepy i murem ognistym oddziela się od pogoni przeciwnika; nieraz całe Auły i z ludźmi stają się pastwą płomieni.

Te odwety powtarzają się ciągle — liczba biorących udział powiększa się; stada gwałtownie

przepędzane z miejsca na miejsce, marnieją, a zemsta nie tylko tysiące ludzi do nędzy doprowadza, ale ciągnie się przez długie lata i w spuściznie z pokolenia przechodzi w pokolenie. Ci zaś, którzy w podobnych wyprawach najwięcej odznaczają się przebiegłością, odwagą, zuchwalstwem, nie tylko nie ściągają na siebie hańby, ale owszem zyskują chlubne imię Batyrów, co w naszym języku odpowiada znaczeniu bohatera.

Dla czego przy tak rozstrojonych węzłach społecznych, przy braku ustaw i zwierzchnictwa, pozostali Kirgizi w tym stanie natury i niezawisłości obok państw systematyczniej uorganizowanych? na to łatwa odpowiedź: kraj ich biedny, pustyнный, nie przedstawiał ponęty dla zdobywców, a koszt wyprawy dla zajęcia i utrzymania w podległości jednej więcej pustyni, zbyt byłyby wielkie w porównaniu z korzyścią, jakaby z tych posiadłości obrachować się dała.

Długo jeszcze, zdaje się, ów naród pozostawać będzie w tych samych warunkach grubej niewiedomości i dzikich obyczajów. Kirgizi, jak każdy rodzimy lud Azji, przez lenistwo, czy przez antypatię odpychają wszelką innowację zaprowadzającą zmianę w ich zwyczajach, nałogach i przesądach, a wątpić należy, aby z ich łona powstał

prawodawca, któryby im natchnął potrzebę wejścia na tór cywilizacji i postępu. To życie bezumysłowe i bezwładne, ta ciągła walka z najgwałtowniejszymi potrzebami, ta wegetacja więcej zwierzęca niż duchowa, ma coś zasmucającego ze stanowiska ludzkości, a jednakże w ich ciągłych wędrówkach, z leżysk zimowych na wiosenne stopy, w zgiełkliwych obradach, w tém ciągłym obcowaniu z potężną naturą pod odkrytym niebem, w téj prostocie obyczajów i zamiłowaniu dzikiej niepodległości, jest wiele uroku i poezji. Siła fizyczna daje popęd młodym junaikom do szukania przygód awanturniczych, samotność pustyni ukształca licznych improwizatorów.

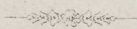
Dziwna rzecz, że przy całej dzikości i nieokrzesaniu Kirgizy lubią muzykę i pieśni; ich ważniejsze zebrania bez śpiewaka obejść się nie mogą; a co dziwniejsza, że gminne ich pieśni są pełne rzewnego i delikatnego uczucia, tak sprzecznego z ich żywotem barbarzyńskim.

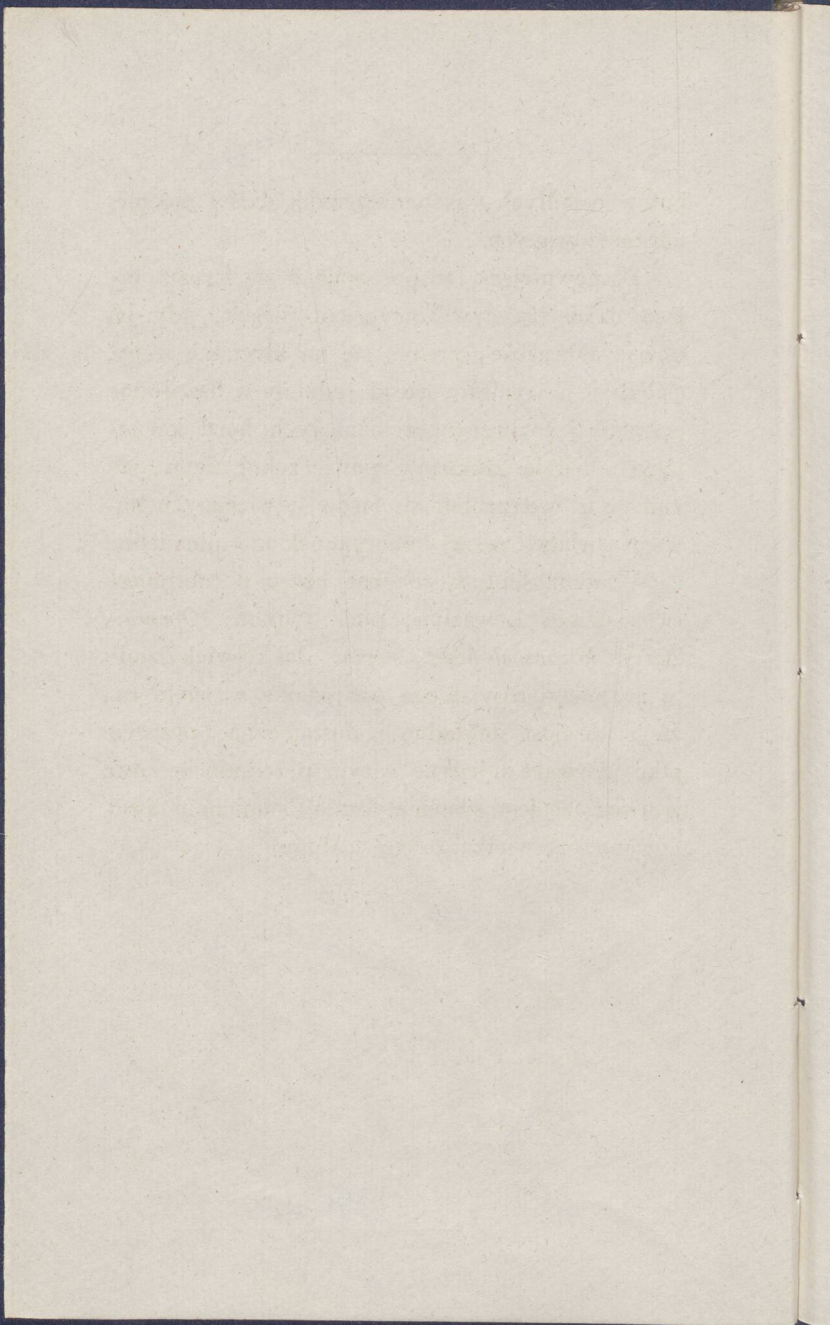
Wątpić należy, aby ten naród jakkolwiek kilkumilionowy, zbiwszy się w jedną gromadę, wyruszył na wzór swoich przodków na wyprawę daleką i zalał powodzią ciemnoty kraje bogatsze i więcej ucywilizowane; nie brak sił ani odwagi stanąłby im na zawadzie, ale stan społeczński

ludów osiadłych, systematyczniej dziś i mocniej uorganizowanych.

To pewniejsza, że posuwająca się i rozpierająca dzisiejsza cywilizacya europejska, gdy jej miejsc zabraknie, zwróci się na kirgizkie stepy, osiedli je i wycisnie naród rodzimy w bezpłodne pustynie i że przeznaczeniem tych hord koczujących będzie zniknąć z powierzchni ziemi, jak znikają z wytrzebieniem lasów odwiecznych nowego świata, reszty amerykańskiego plemienia.

Wiadomości te w znacznej części poczerpnięte są z dzieła Lewszina, pod tytułem: *Opisanie Kirgiz, kozacych hord i stepów*. Jakkolwiek dzieło to uczonego rosyjskiego podróżnika w wielu razach nie jest dokładne i dostateczne, przecież jako pierwsze i jedyne w tym przedmiocie, oraz z uwagi że jest systematycznie i sumiennie opracowane, na wielką zaletę zasługuje.





Objaśnienia do Części drugiej.

1. Góra Su-meru ważną bardzo gra rolę w kosmologii indyjskiej. Według wyznawców Bouddhy zajmuje ona sam środek ziemi i przy stworzeniu świata pierwsza wyszła ze zburzonego oceanu, formując się z najwyższych jego bałwanów; ostatnia też przy skończeniu świata zniknie z jego powierzchni. Z niższych bałwanów oceanu powstało w czasie stworzenia siedm gór złotych i jedna żelazna, a z najniższych cztery części świata żelazem obwiedzione. Odpowiednio tym czterem częściom świata każda strona góry Su-meru z inną się składa kosztowności, część jej wschodnia jest ze srebra, południowa z lapis-lazuli, zachodnia z rubinu, północna ze złota. Słońce, księżyc i gwiazdy około tej góry obrot swój odbywają. Część jej wznosząca się nad morze, wynosić ma 80,000 judziana, to jest, około 30,000 mil niem. Wierzchołek góry Su-meru zamieszkały jest przez trzydziestu trzech srebrnych jeniuszów, duchów jasności zwanych Tegri, którym panuje Hormuzdy; zaś u spodu góry zamieszkują jeniuse złośliwe, duchy ciemności, zwane Assurii. Ciągła walka na górze Su-meru odbywa się pomiędzy jeniuszami dobremi i złemi, a to celem odebrania dobrym jeniuszom boskiego ne-

ktaru. Jedni jak drudzy przywdziewają pancerze ze złota, srebra, kryształu, z łukami i strzałami stawiają do walki, dobry czy zły geniusz ugodzony w głowę, utracą życie. Bouddhyści silnie wierzą w działalność tych geniuszów, że w miarę powiększania się dzieł dobrych na ziemi, duchy jasne biorą górę; przeciwnie, skoro liczba zbrodni przemaga nad cnotami, zwycięstwo jest na stronie duchów ciemności.

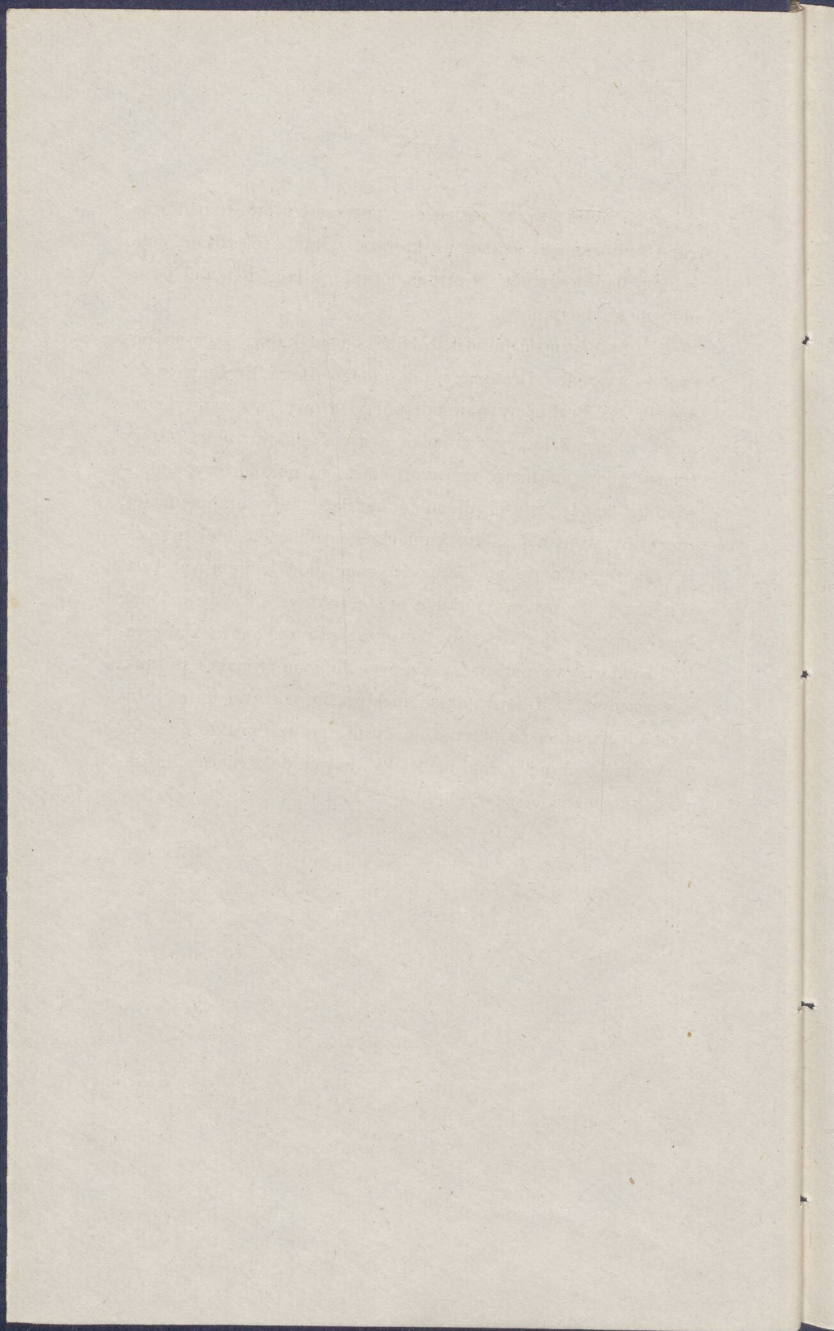
2. Wyjątek z listu pisanego w roku 1834.

„Niepodobna, abym ci nie dał opisu prawdziwie zachwycającego widoku, jakiego doznałem w przejeździe gór.... Jednego poranku, nim słońce weszło, gdy wszystko ciemną mgłą było pokryte, tak dalece, że przedmioty na kilkadziesiąt kroków odległe stawały się niewidzialnymi, pierwszy raz wjechaliśmy pomiędzy gór pasma; kiedyśmy się podnieśli na wierzchołek góry, weszło słońce, mgły spadły i najpiękniejszy zabłysnął poranek. Mgła nie opadła zupełnie, my tylko byliśmy nad jej granicą; ona pokrywała całą przestrzeń, wyjąwszy najwyższe wierzchołki gór jodłami obrosłe, na których odbijały się promienie słońca. Te wierzchy gór na jaśnią wydobyte, wyglądały na kształt wysep rozrzuconych na niemającym końca oceanie, a świeży poranny wietrzyk wzruszający mgły tumany, nadawał im postać bałwanów wzburzonego morza. Lekkość mgły pozwalała w części rozpoznać przedmioty pod nią się znajdujące, lecz złudzenia optyczne i imaginacya w miejsce świerkowych i jodłowych lasów tworzyła zamki, miasta, ogrody....“

3. Bałcharz, jezioro wielkie w bliskości granic chińskich, do którego wiele rzek wpada wypływających z gór Tarboga-tajskich i Alatańskich, a żadna z niego nie wypływa. Kotlina pomiędzy temi górami stanowi kraj zwany siedmiorzecznym.

4. Tundra, są to rozległe przestrzenie błotniste nad brzegami lodowatego oceanu, na których tylko mech rośnie, jako ostatni ślad wegetacji w stronach stałego lądu najdalej posuniętych ku biegunowi.

5. Społeczność indyjska dzieli się na kasty, których początek wywodzą Brahmany od samego Boga Brahmy w ten sposób, że Brahmany powstał z jego głowy, wojownicy z ramion, rolnicy i kupcy z żołądka a rzemieślnicy z nóg. Cztery strony góry Su-meru rzucając blask różnokolorowy, odpowiadają każdy właściwie sobie kascie, białą brahmańską, czerwony wojenną, żółtą kupiecką i rolniczą, błękitną rzemieślniczą. Co się nie da podciągnąć pod jedną z tych kast, jest parją, to jest wyrzutkiem społeczeństwa. Każdy członek kasty może stać się parją, skoro zaniedbywa obowiązków religijnych, używa potraw zakazanych lub ma związki i stosunki z parjasami... Miliony takich nieszczęśliwych wegetuje w Indyach, najpodlejsze prowadząc życie, prawa ludzkie i boskie Indostanu odrzuciły ich na wieki, nawet po śmierci dla parjasa nie ma pociechy religijnej.



Objaśnienia do Części trzeciej.

1. *Sajga*, dzika koza, rodzaj Antylopy.
2. Dwukon — Kirgizy wyprawiając się na wojnę lub w daleką wędrowkę, zwykle biorą z sobą po dwa konie, ścigając lub uchodząc przed nieprzyjacielem, przesiadają się z jednego na drugi, luzem idący odpoczywa, a tym sposobem są w stanie w prędkim czasie dalekie przebywać przestrzenie.
3. *Berkut*, orzeł stepowy.
4. *Aul*, osada z wielu *jurt* czyli namiotów złożona.
5. Czakan, rodzaj młotka ostro zakończonego na drewnianej rękojeści, służył niegdyś w czasach rycerskich do rozbijania zbroi przeciwnika, u Kirgizów dotąd jako broń używany.
6. *Batyr* to samo znaczy w języku Kirgizów co w naszym bohater.
7. *Ajbałty*, *muttyki*, nazwiska broni palnej.
8. Ptaszą drogą nazywają Kirgizy powietrze.
9. *Mulla*, duchowny mahometański.
10. *Namaz*, modlitwa.
11. *Bakczy*, czarnoksiężnik, lekarz, trefniś, zazwyczaj wszystkie te przymioty łączy bakczy w jednej osobie.
12. *Kumys*, napój opajający, robiony z mleka kobyłego.

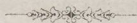
13. *Chodźża*, jest to nazwisko, dodawane tym z wyznawców Mahometa, którzy robili pielgrzymkę do Mekki i Medyny.

14. *Kara-kum*, piaszczysta pustynia przy granicach Chiwy, jest tu mowa o owych zjawiskach pustyni, znanych pod nazwą Fata-morgana, pojawiających się oczom każdego podróżnika na wielkiej pustyni Sahara, a które Dr. Tripplin widział nawet na stepach południowej Francji.

15. *Tursuk*, worek skórzanny, w który Kirgizy, puszczając się w drogę, biorą dla siebie żywność potrzebną.

16. Obraz klęsk, jakie pociągnęły za sobą baranty, mianowicie w początku niniejszego wieku pomiędzy plemionami kirgizkimi, wzięty jest z rzeczywistości; tysiące rodzin przywiezionych zostało do żebractwa, tak dalece, że wiele matek dla braku środków wyżywienia zmuszonych było sprzedać swe dzieci sąsiadującym narodom.

17. Alkoran dzieli się na sury, których jest przeszło sto. Sura znaczy toż samo co rozdział lub księga.



PRZYGRAWKA.



Gęśli!... znów trącam cię!...

Twe dźwięki, kurzawy letargiem uśpione
Chcę zbudzić, z strun długo milczących;
Nastroić, do uczuć mą duszę palących,
Do myśli — co schną niewcielone,
Gęśli!..... odezwij się!.....

Dotknąłem strun.....

I spłynął z nich tonów źródł mętny; —
Wesołych — jak sen lat dziecinnych;
Burzliwych — jak młodzian namiętny;
I rzewnych — jak echo dum starych, rodzinnych,
Co w dziwny splatały się ton.

I jakąż pieśń,

Z rozstrojnych spoję ułamek?.....
Czy przeszłość wywołam z pod cieni?.....
I pójdę jak minstrel — do zamków;
Zasiąść wśród ruin, i z kamieni
Wiekową strząsnąć pieśń?.....

Czy uszczknę kwiat
 Młodzieńczych marzeń?..... co jak puchy
 Wiosenne, lekko wzlatują do góry,
 I jak Osyana duchy,
 Żeglują w chmurach, nad chmury
 W błękitny fantazyi świat.

Czy się zapuszczę w kraj
 Uczuć i serca — niezbadany?.....
 Gdzie wszystko! — i niebo z swém słońcem;
 I ziemia z obliczem kwitnącém,
 I lodozwały — i wulkany —
 Piekło — i Raj.

O nie!..... z pod obcych nieb,
 Z dalekich, głuchych krańców świata,
 Myśl, snuje pajęczy wątek
 Tęsknot, rojeń i pamiątek;
 Gdzie najpiękniejsze lata
 Tumanny zamknął step.

Tam, wichru szum
 Wtórował czuciom piersi młodej;
 Piorun, ognistym przemawiał z chmur językiem;
 Znów — martwa cisza w obszarach bujnej przyrody;
 Tylko duch trącał, lecąc po stepie dzikim
 O echa zbłąkanych dum.

Gęśli!..... ty wesprzyj mnie!.....

Nie biegła cię ręka poruszy,

Ni nutą stroję cię rodzinna;

Więc tonom, co ze strun méj duszy,

W czarowne twe struny przepłyną,

Niech z stepów harmonija tchnie!



THE
JOURNAL
OF
THE
AMERICAN
MUSEUM
OF
NATURAL
HISTORY
NEW YORK

I.
STEP.

1878

I.
STEP.



I.

Czys widział stepy? gdy w dzień zimowy
Z północy chmura zaciągnie śnieżna;
I nigdzie schrony dla twojej głowy,
Bo w krąg pustynia biała, bezbrzeżna,
A przy rosnącym co chwila wietrze,
Straszliwa zamieć zaćmi powietrze?...
Biedny wędrowcze!... w złą się godzinę
Wybrałeś w podróż; patrz!... jak szalony
Wicher, jak wielka, całą równinę
Naraz silnemi ujawszy szpony,
Łono jój białe rozrywa, porze,
Rwie aż pod niebo i w kłębach pędzi,



O! nie kwiat wiśni, nie puch łabędzi,
By ci rozkoszne podesłać łoże;
To rój gwiazd śnieżnych, wirowym ruchem
W takie cię gęste siatki okręca,
Tak nieprzebytym ściska łańcuchem,
Że zmęczonego, wzięwszy jak jeńca,
Przy tobie, żywym, jak przy swęj osi,
Biały, grobowy kurhan podnosi.
Niebo i ziemia nikną ci, kołem
Ćma tylko luźnych atomów krąży,
Owija chwilę, i dalej dąży,
Chwyta cię oblęd; sądzisz, że społem
Lecisz z tym wirem, co cię oplata;
Sądzisz, żeś jądrem nowego świata,
Który bujając po nad otchłanią
Nie zawisł w sferach, bo mu duch Boży
Jeszcze nie wskazał celu podróży.
Nagle cię senność porywa, za nią
Jakieś błękitne ciągną marzenia,
Które zasuwa gęsta pomroka...
Abys przynajmniej w dniu przebudzenia
Ocknął w dziedzinie rajskiej proroka.

II.

Czyś widział stepy? gdy w dzień wiosnowy
Z południa wietrzyk pociągnie miły,
A trawki, co się w ziemi tały,
Trysną — pochwyć oddech majowy,
I rodzicielki przywiedle łono
Skryją w młodości szatę zieloną? —
Gdy w górze, po pod niebem wiszące,
Z łez zimy oschłe, jaskrawe słońce,
Jednym spojrzeniem, całej przestrzeni
Śle bujne życie, więz swych promieni,
Co, jakby w chmurę padając mglistą,
Po stepie ścielą tęczę kwiecistą. —
Jeśliś to widział?... skłoń dumne czoło
Przed Tym, co w cudów zamknął cię koło.
Tu, wietrzny, zmienny rój Anemonów,
Gnie się zręcznością dworskich ukłonów;
Irys, ozdobny modnym turbanem
Pogląda z góry, jakby był hanem
Poziomych kończyń, co w mnogim tłumie
Pełznąc, podniosłej hołdują dumie.

Zalotna róża, w więzielu pęta
Jakby w zazdrosnej harem zamknięta,
Z pod czujnej straży wabi z uboczy
Astrów, bławatów gwieździste oczy;
A kampanule szmerem swych dzwonków
Brzmią nad kolebką dziatwy skowronków.
Tam! co się z łona stepów wynurza?...
Nie, wzrok nie myli!... błękitne wzgórza,
Odłam to niebios?... czy wróżka która
Wzrokiem urzekła fale jeziora,
Że choć wiatr marszczy powierzchnie sine,
Z wyżyn się nie śmia stoczyć w równinę!...
To niezabudki! kwiatek pamięci
Próżno dłoń twoję ku sobie nęci;
Myśl z nich tysiące wieńców uplata,
A zakres serca tak w koło wążki,
Że mogąc niemi darzyć pół świata,
Nie masz dać komu jednej gałązki,
Patrz! patrz! coś błyska.... czy step się
pali?....
Czy na zielonej, szumiącej fali,
Wytrysnął nagle ostrów koralu?

Czy krew pobitych wykwitła z ziemi
Po nad kośćmi nie zemszczonemi?
Nie! to tychnisów płomienny wieniec,
Dziewiczych stepów świeży rumieniec.

III.

Step choć bezludny, w nim nie jest głucho,
W łono natury wtajemnicz ucho;
Ten szmer, którego pajęczy wątek
Rwie się co chwila w harmonii tonów,
To są rozmowy całych milionów
W niedopatrzonym świecie żyjątek,
Ta woń, co pyłków najłżejszych tkanką
W swe balsamiczne bierze się sploty,
Co ją być sądzisz niebios posłanką,
To miłość kwiatów, to ich zaloty,
Bo w koło miłość. W kwiatów masz
tchnieniu,
W brzęku żyjątek, w ptasząt nuceniu,
Z pod niebios nawet brzmia zalecanki...
Gdy serce czułe, a kochać trzeba,

To myśl jak ptaszek leci do nieba,
I tam swój szuka gwiazdki — kochanki.

IV.

Ha, dalej w stepy! nie ma przeszkody!
Koń, choć nie rosły, lecz mocny, żwawy;
Step bujny, znajdziem dostatkem trawy;
Maj miesiąc, to nam nie braknie wody.
Lecimy szybko, bo któż zatrzyma
Pośród pustyni, co krańców nie ma?
Może kruk głodny, co mi nad głową
Wciąż jakąś piosnkę kracze grobową?...
Może te lekkie po niebie chmurki?
Może te liczne po stepie wzgórki?...
Ha! to kurhany, pomnik jedyny,
Że człowiek gościł wśród tej krainy.
Koniu! na chwilę biegu zastanów,
Ja cześć głęboką mam dla kurhanów...
Lecz kto je sypał?... czyj proch w nich
leży?...
Proch bohaterów, czy też pasterzy?

Może ślad, kędy dawni hanowie
Swe hordy wiedli?... Któż mi odpowie?...
Pytałem synów téj ziemi, — milczą;
Dziejów pytałem — w dziejach noc głucha;
Wezwałem duchów — i z krain ducha,
Ile z gwiazd ku mnie siało promieni,
Tyle się naraz zsunęło cieni,
Step pełny; jeźdźce, rumaki w bieli,
Z dzikim okrzykiem kołem stanęli,
Łuk, strzały w ręku, bo każdy zbrojny
Jak legł, tak z myślą ocknął się wojny;
Cisną się... sądzą, że ich plemienia
Wódz, swe drużyny budzi z uspienia;
Czekają znaku; mniejsza gdzie skinie,
Byle świat cały zmienić w pustynie.
Precz... precz odemnie burzące plemię;
Pył wasz rozwiany wichrem w równinach,
Nie zapadł płodnie w tę bujną ziemię,
Nie rozkwitł pieśnią w myśli dziedzinach;
Koniu!... lecimy, tu nikt nie wstrzyma.
W tych grobach, nasion przyszłości niema.

V.

Za mną, przedemną, step trawą lśniący,
Równy, rozległy, oku ginący,
Bo skłon niebieski, stepy co kwitną,
Wkoło się we mgłę zwały błękitną.
Z piosnką, podleciał wiosny śpiewaczek;
Mój wzrok go długo tropił do góry,
Aż skrył się w niebie jasnym, bez chmury,
Owdzie sznur dzikich, wędrownych kaczek
Czerniał na niebie. Dalej i dalej...
Zmalał w nie szarą, i w wietrznej fali
Niby się rozwiął, niby rozplynał...
Tylko krzyk głucho dolatał, ginał...
I scichło niebo... Próżno do góry,
Próżno po ziemi tęskne śle oko,
Bo jak daleko, bo jak szeroko,
Nic — oprócz wiecznie pięknej natury.
O! jak tu serce rwie się do ludzi!
Kocham ich duszą świeżą, młodzieńczą,
Gdy żaden zimny powiew nie studzi
Marzeń płonących, co jasną tęczę

Obwodząc ludzkość z końca do końca,
Bierze swe farby z miłości słońca.
Dalej mój koniu! prędzěj do ludzi!...
Choć nie w rodzinne wracamy gniazda,
Ani nam miła przyświeca gwiazda,
Prędzěj mój koniu... tak!... dobrze teraz...
Ty moje chęci odgadłeś nieraz.
Lubo traw żaden powiew nie kłoni,
Twa grzywa furczy, jakby na wietrze
Rozwiana wstęga, a od pogoni
W uszach mi świszcze rwane powietrze;
I choć w mym pędzie wyścigam ptaki,
Zda mi się, stoję w miejscu przybity;
Bo step, wciąż piękny, bujny... jednak!...
Témże półsferzem niebios nakryty.

VI.

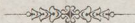
Zmienił się widok, — inna kraina
Od stóp się moich oku poczyną,
Step szerszy, większy jak krąg wśród wody
W coraz się dalsze rozlał obwody;

Trawy, co z wiatrem gnąc się, bujały,
Traciły świeżość... rzedły... karłały;
Nawet powietrze przejrzysto-szklanne,
Gdzie pył kwiatowy z żyjatek rojem
Wciąż, idealnym krążył zawojem
Nad moją głową, teraz tumanne
Jakby w przezroczu rozpiętej gazy,
Omgliło z lekka wszystkie obrazy.
Słońce, bez wieńca promieni, krwawo
Patrzyło z nieba na te przestworza,
Do umarłego podobne morza,
Siwe i nagie, gdzie niegdzie trawą
Zwiedłą porosłe, co jak ostrowy
Wzbiły się po nad wylew żwirowy.
Tu wydmuch piasku, jak srebrna mora,
Jak kiedy wietrzyk przelotnym wiewem
Pomarszczy gładką szybę jeziora;
Tam, huraganów zmacone gniewem,
Kładąc się w warstwy żwirowe wały,
W spiętrzonych, długich sypach, zostały,
Owdzie, jak gdyby żółwie olbrzymie
Zapelzły na te lądy bezwodne,

Wzgórza, z ciemnymi, nagiemi grzbiety;
O! bo w pustyni wszystko niepłodne,
Prócz może jednych marzeń poety.

VII.

Pędzę;... z pod kopyt końskich wzniesiony
Pył, niby błędnej ogon komety,
Ciągnął się za mną. Wzrok utęskniony
Byстрыm w przestrzenie naprzód szedł gońcem,
Czy się nie spotka z błoniem kwitnącém,
A może z jaką jurta gościnną,
Ach! z tém pragnieniem, chyba rodzinną
Witałbym ziemię! darmo... pustynie
Tak dzikie w koło, że wzrok w nich ginie
Jak rozum, gdy się w wieczność zacieka.
Pędź, miły koniu! droga daleka...
Lecz patrz!... te linie co błękitnieją,
Szczerbją się... piętrzą... o! to nie chmury!
Czuję, że duch mój, myśli olbrzymieją
Przecuciem cudów olbrzymiej natury.



THE FIRST PART OF THE HISTORY OF THE
LIFE OF THE LATE LORD OF THE TREASURY
OF THE KINGDOM OF GREAT BRITAIN

THE

SECOND PART OF THE HISTORY OF THE
LIFE OF THE LATE LORD OF THE TREASURY
OF THE KINGDOM OF GREAT BRITAIN
CONTAINING A HISTORY OF HIS
ADMINISTRATION OF THE
REVENUE OF THE KINGDOM OF GREAT
BRITAIN
BY
JAMES OBERLIN, ESQ.
OF THE MIDDLE TEMPLE
IN TWO VOLUMES
LONDON
PRINTED BY J. JOHNSON, ST. PAULS CHURCH-YARD
1791

II.

GORY.

11
11 11 11 11

II. GÓRY.



I.

Konno, — na góry stanąłem szczycie...
Noc była mglista i takiej ciemności,
Że się zdawało, — jakby wszelkie życie
Wygasło; — ziemia w otchłanie nicości
Zapadła; — świat znów gęstym zamierzchnym
cieniem,

I wszystko było tak, jak przed stworzeniem. —

A z tych dopiero mglistych czarnych godzin,
Miał zejść dzień wielki, — wszech świata
urodzin.

II.

W obszarach czczości, której nie ma
końca, *)

Gdzie tylko wieczność ciemna i milcząca;
Gdzie gra kolorów, najcudniejsze wonie,
Harmonija nawet, ma wstęp sobie wzbronny,
Jako zbyt gruba materja, — i tonie
W przestwór — bezbarwny, bezdźwięczny,
bezwonny, —
Oko śmiertelne... ciemne, tam, — nie sięga;
I myśl cielesna... choć jój piór potęga
Wyżej ją wznosi od gwiazd kołowrotu,
Tam, — łamie skrzydła, dostaje zawrotu
I spada. — Tam, w owych obszarach
Gdzie czczość z wiecznością gubią się w bez-
miarach,
Otoczon — ciszą, pokojem, pomroką

*) Cały następny ustęp, w którym jest mowa o Najwyższej Istności i stworzeniu świata, wzięty jest z ksiąg religijnych Brahmanizmu i Bouddaizmu, a zatém błędny i niezgodny z pojęciami chrześcijańskimi.

ON, Duch najwyższy, w mądrość nieskończoną

Myśl swą przedwieczną, zamknąwszy, jak
w łono

Konchy, najdroższą perłę — spał głęboko.

III.

Długoż spał tym letargiem?... tu, liczbami
Milion ich postaw, nie trafisz do końca;
Łatwiej ocean przemierzyć kroplami;
Górę Su-meru przeliczyć pyłkami; ¹⁾
Niż jedną chwilę z tego lat tysiąca,
Przez które trwał sen JEGO i spoczynek.

IV.

Jam się doczekał chwili przebudzenia;
Bo myśl już była wszechświatem ciężarna;
Z snów, w których nie śnił... ON przeszedł
w półsnienia,
A pierwsze z marzeń były światła ziarna,

Które w otchłanie leciały jak gońce,
Zwiastować cuda zmartwych-powstające.
I mrok, co czarnym otaczał mnie cieniem
Zadrzał — tym pierwszym dotknięty pro-
mieniem;

I coraz rzedniał, — bo jak białe pyłki,
Jasne w ciemności rozbiegły się żyłki,
Coraz ich więcej... niby siatka biała,
Na szatę nocy z wyżyn się spuszczała. —
ON — coraz żywsze musiał mieć marzenia,
Bo smugi światła zsuwały się chyżej;
Mrok, w czarnych kroplach spadał coraz
niżej,

Coraz to w głębsze uciekał otchłanie,
Aż przyszła wielka chwila — przebudzenia,
Bo taki naraz ogrom blasku strzelił,
Że mrok granicą od światła oddzielił. —
Ja — w jasnym, białym płynąłem tumanie.

V.

Mgły niżej spadły, — przed oczyma memi,
Jakby myśl pierwsza zbudzonego Boga,
Błysnęło światło słupy ognistemi.
Przez bramę wschodu, jak gdyby pożoga
Oblała niebo, w igrach skier tysiąca,
Coraz i coraz blaski wzmagająca.
Jego Mądrości zajaśniała zorza
Po nad falami duchowego morza.

Bo wzrok mój, dotąd we mgłach uwięziony
Z nich się wychylił — i po nad tumanem
Wciąż spadającym, jak nad oceanem
Lekkim przejrzystym — bujał zachwycony.

A duch tworciciel, z szeroko skrzydłami
Rozpostartemi, zawisł nad wodami
I teznął w nie życie, — a z pod jego
skrzydeł
Rój drobnych duchów, leciał na głąb wody
Przybrać się w kształty cielesnej urody;

Każdy duch, odłam twórczej JEgo myśli,
 Innym piękności naznaczon znamieniem,
 W inne się stroi obsłonki, — i kreśli
 Swój świat dla siebie. — A z głębi co
 cieniem,

U stóp mych leży pokryła, — zmacony
 Szmer, czy téż świegot, zaczął się podrywać,
 Mocniój i więcéj, w harmonią się zlewać,
 Rzekłbyś, że duchy wcielały się w tony,
 Aby hymn wielki dla Stwórcy odśpiewać.

VI.

Mgły niżéj spadły, i nad poziom mglisty
 Z zorzy, — téj wschodu kolebki ognistéj
 Młodziuchne słońce, swą płomienną głowę,
 Podnosząc, złote rozsypało włosy,
 Na błonia niebios wielkie, lazurowe. —
 Z otchłani ciemnéj, uskrzydłone głosy
 Wzleciały witać pieśnią podziwienia,
 Wschód słońca, — tego wcielonego ducha
 W ogień i blaski, co u Niebios brzegu,

Pierwszém ogniwem jest w stworzeń szeregu,

Zstępującego w bezdenność łańcucha,

On, — spojrział na dół, tém okiem stworzenia.

Myślał, — wykreślił przyszły świat przyrody,

Ubarwił lądy, ozwierciadlił wody,

Skinął, — i dalej szło dzieło stworzenia.

VII.

Mgły niżej spadły, — nad lekkie wały,

Podmuchem wiatrów porannych zmacone,

Co się jak morza bałwany spiętrzały,

Kiedy je wzburzą orkany szalone,

Wytrysła góra Su-meru błyszcząca,

Milion promieni oblało ją słońca,

A każdy promień rozbił się w barw krocie,

W srebrze, rubinie, safirze i złocie.

A na Su-merze, ja na koniu stałem,

I wzrok ciekawy na przestwór posłałem,

Mglisty ocean wrzał pod memi stopy;
 Ja, coraz wyżej pod niebieskie stropy
 Z górą wzrastałem, — mgły niżej, —

a w dali

Z téj, twórczém tchnieniem upłodnionej fali,
 Jak siedm raz na stepie piaszczystym,
 Jakby wysp siedm na morzu przejrzystém,
 Siedm wierzchołków gór, — z rozpekłych

toni

Wstało nad poziom. — Uroczysta chwila
 Nadeszła. — Słońce, skarby światła roni
 Na ziemię, która ze mgły się wychyla,
 Która, — jak młoda Wschodu narzeczona,
 W zazdrosny rąbek dziewiczy odziana,
 Pierwszy raz stanie, piękna, odsłoniąca,
 Przed ognistemi oczyma młodziąca.

VIII.

Mgły niżej spadły, — i moje spojrzenie
 W dół, — na podstopne zwróciłem prze-
 strzenie;

Tam, mgły jak morze, gdy się odlew za-
 cznie,
 Od stromych brzegów schodziły nieznacznie,
 I między góry rosnące i skały,
 Gwałtownym prądem przesuwając się zdały.
 A pod powierzchnią téj przejrzystej wody,
 Kraj cudów, — jakieś zakłète ogrody,
 Gaj różnolistny w mych oczach wyrasta,
 Wiosennym puchem i kwieciem okryty,
 A z pośród kwiatów, wież i świątyn szczyty,
 Jakby powodzią zalanego miasta,
 W pól idealném, w półsenném przezroczu,
 W kończatych rzeźbach jawią się dla oczu.
 Światło w gór przerwy, w promieniach idące²⁾
 Mgły na skał szczytach i jodłach wiszące,
 Wiatrem splecione w dziwną grę kolorów,
 Rój fantastycznych wywołały tworów.

Zdało się, — jakby z podwodnej pieczary,
 Olbrzymich kształtów wypęzły poczwary;
 Niby tłum duchów co wylągł się w cieniach,
 Szedł, w gęstej, czarnej, ścieśnionej kolumnie

Zaczepnym bojem... i wdzierał się ku mnie
 Na górę Sumer, — kędy ja w promieniach,
 Jakby sam Hormuzd w kryształowej zbroi,
 Z dobytym mieczem bronił włości swojej;
 Gdybym był zadrzał przed synami nocy,
 Spojrzałbym w niebo, — i ku mój pomocy
 Jasności duchy, w promieniach by zbiegły,
 Napięły łuki, roztoczyły skrzydła
 Nimi, skroń moją od pocisków strzegły;
 Tegom nie żądał, — ciemności straszidła
 Szły wyżej, tłumnie i w krąg mnie obiegły.
 Aż mój wzrok, wstrzymał te ciemne kolu-
 mny. —

Ja, myślą silny, wolą moją dumny,
 Mógłżem do serca, przystęp dać bojaźni?...
 I słabym tworom mętnéj wyobraźni
 Poddać się, uleść, zaprzeć się sam siebie?...
 Wszakże On, kiedy mnie stworzył, i w niebie
 Duchowi memu, ukazał siedlisko,
 Dał czystą wiarę, bym nie upadł nisko,
 Bym się igraszką nie stał sił tajemnych;
 Tych kolumn duchów i jasnych i ciemnych.

Więc, czarne rotę, co mnie jeńcem brały,
Straciłem nogę — i patrzyłem na nie,
Jak zdruzgotane o sterczące skały,
W głąb, — w najciemniejsze zapadły
otchłanie —
Wtenczas myśl moja, skał grzbiety, gór
głowy,
Wziąwszy za stopnie, choć w przepaściach
droga,
Szła śmiałym krokiem, niby Tytan nowy,
Wyżej, i wyżej... — do idei Boga. —

IX.

Człowiek!... to pyłek
Do ziarka ziemskiego przypięty
Z orszakiem błyszczących bryłek,
Przez nieskończoności żegluję odmęty,
I z trwogą mierząc te ciemne otchłanie,
Choć mu słoneczna świeci w drodze gwia-
zda,

Pyta, — gdzie dąży?... gdzie port w którym stanie?

I jaki cel ma ta jazda?

Na to ON, głosem piorunu doń rzecze:

„Obszar, — iskrzącém nakryty sklepieniem,
Z całą farb krasą, z wszystkich dźwięków
brzmieniem,

To świat! dla ciebiem stworzył go człowiecze,
Dni twoje, w żywot zamknąłem nie długi;

W łupinę ciała, kruchą, skazitelną,
Wszczepilem duszę, jasną, nieśmiertelną;

A ziemia twém polem zasługi,

Ty jesteś średnim ogniwem łańcucha,

Jądrem méj myśli, od ciebie do góry,

Coraz lżejszemi podnosząc się pióry,

Miliony istot, szczebluje w świat ducha,

O ciebie na dół, — w otchłanie strącony,

Ciągnie tworów orszak nieskończony,

Co, biorąc, grubsze cielesne okrycia,

Gasi tę iskrę duchowego życia. —

Przez cnoty, — z ziemi, wyswobódź się
kału, —

W takie cudowne kształty się przemieni,
Że od słonecznych jaśniejsza promieni,
Wróci, odpocząć u mojego łona. —
Lecz gdy twą duszę, brudna żądza splami
Gdy ją zbezecnisz i zczernisz zbrodniami,
W gad ją obrzydły zamienię, — i strącę
W bezdenną przepaść, — otoczę ją cieniem,
Będę ją dręczyć trawiącym płomieniem,
Dam jej form tysiąc, i przez lat tysiące,
Dźwigać się musi, nim spojrzy na słońce;
Człowieku! pomnij!... żywot twój nie długi.
A ziemia! — twém polem zasługi? —

Mgły całkiem spadły, — jam teraz na
ziemi. —

XI.

Spojrzałem w przestrzeń, — przed oczyma
memi,
Góry i skały, — przez skał rozpadliny,
Noc, w kraj podziemnych uchodziła cieni,
Gór wierzchy, — z srebrnych i złotych pro-
mieni,
Garnęły światło do siebie, — doliny
W porannym jeszcze drzemały pół-zmierzchu.

Co jak na wielką radę lub rozmowę,
W krąg się pod memi ścisnęły stopami,
Tu łącznie, inne, szeregi długimi
Na dwa się krańce rozchodziły ziemi,
Rozlicznych kształtów, wymiarów i farby,
Dźwigając baszty najeżone, z lodu;
Niby, wielbłądy ze śnieżnemi garby,
Szły karawaną na zachód ze wschodu. —

W gór przerwach, — step się porankiem
uśmiechał,
Słońce nań wszystkie rzuciło djamenty,
On, słońcu — kwiatów ambrozją oddychał;
Step!... ém mściertelném okiem nieobjęty
Im dalej... barwy przyoblekał bledsze,
Im dalej... nie patrz... nie badaj prze-
działu...

Bo się stopiły — i step, i powietrze,
I niebo, — w jakąś tkankę ideału. —

I wzrok mój, buja w ogromnej przestrzeni,
Kędy jeziora i wstęgi strumieni, —

Dymiły mgłami, które się ku górze
 Ciągnęły, w jasnych smugach po lazurze,
 Niby sny ziemi dziewicze, majowe,
 Brały na siebie obsłonki tężowe,
 A odkrywając wód powierzchnią szklaną,
 Szły jak dym lekki wonnego kadziła;
 Może duch ziemi, jasne wzięwszy skrzydła,
 Unosił w niebo modlitwę poranną. —

XII.

Wzrok mój, — co po gór czepiał się wy-
 żynie,
 Jak koń stepowy, rzucił się w pustynie...
 Pustynia dzika, piaszczysta, płonąca,
 Jak twarz Mongoła spalona od słońca,
 Ludów wędrownych i wichrów nie mało
 Przez jej powierzchnią bezpłodną przewiało;
 Starły się ślady... tylko uroczyska
 Szeptają ci, jakieś nieznane nazwiska
 Co w nich przymarły... zaciekłość uczona,
 Próżno oskardem o ich grzbiet uderzy. —

Już nie dobędzie przeszłości z ich łona,
Ani zagasłych zdarzeń nie odświeży;
Wieszcz chyba, z gminnych rozproszonych
wiesci,
Świat fantastycznych wywoła powieści.

XIII.

Pustynia, — coraz rozwija się szerzej,...
Jak wielka karta u stóp moich leży,
Pusta... bo człowiek uląkł się przyrody,
Nie chciał, czy nie śmiał z dziką iść w za-
pasy, —

Więc, u stóp moich czarne drzemią lasy,
Dalej, — jak wstęgi osrebrzone wody,
W łożysku, jasnym z piasków i kamieni
Śród łąk nadbrzeżnych wiją się zieleni;
Na środku — Bałcharz, ³⁾ błękitny jak oko,
Rzęsą trzin ciemnych obrosły szeroko;
Dalej już... piasków ruchomych przestworza,
W zapadających tle niebios — niknące,

Gdzie wśród grobowej ciszy, przez bezdroża,
Ognistym śladem posuwa się słońce. —

XIV.

Teraz, mój Duchu! przyodziej się pióry,
I jak gołąbek z arki wypuszczony
Leć wyżej... wyżej ku niebu... nad chmury,
Nad Himalaje — aż tam, zawieszony...
Spojrz na ląd Azyi, olbrzymiej przyrody,
Kolebkę ludów, ognisko ich wiary;
Gdzie góry niebios sięgają; gdzie wody
Wielkie, jak morza, — a pustyn obszary,
Jak droga mleczna, co z brzegu do brzegu
Środek tych krain szeroko zalega;
Tam — z jednej strony, nad stepów prze-
stworza,
I dalej — aż nad północy tundrami; ⁴⁾
Niby rac tysiąc, borealna zorza
Rubinowemi pali się iskrami. —
Po drugiej stronie ogromnej pustyni,
Kraj słońca, — lato nigdy nie ustaje,

Owoc wciąż żreje; — drzew palmowych gaje
 Jak rzędy kolumn korynckiej świątyni
 Pną się ku niebu, i smukłym ramieniem,
 Unoszą w splotach rośliny wijące,
 Gęstém, zieloném spojone sklepieniem,
 Że przez nie, nawet nie przedrze się słońce;
 W ich cieniu spotkasz liczne stada słoni,
 Płód kolosalny tych dziewiczych błoni,
 A pośród tylu cudów przyrodzenia,
 Gdzie każda głoska téj niezmiernéj księgi
 Jest jako olbrzym z znamieniem potęgi;
 Tam człowiek — obraz nędzy i spodlenia!

XV.

O! Parjów rodzie!...⁵⁾ nicze cię nie zbudzi
 Z twego letargu?... podobny do płazu
 Czyż wiecznie pełzać będziesz?... i ni razu
 Nie westchniesz?... abyś należał do ludzi!
 Mędrcy ci klucze wykradli rozumu
 Zamknęli niebo, wzięli skarby ziemi,
 Ciebie do istot bezrozumnych tłumu

Stracili,... a ty czołgasz się przed nimi!...
 Raz podnieś czoło długim jarzmem — zgięte
 Raz się upomnij o prawa twoje święte;
 I tu, — w obliczu arcydzieł przyrody,
 Odżyj, na łonie szczęścia i swobody. —

Chciejcie być wolni!... krzyknąłem z gór
 szczytu;

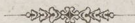
Pewny, że głos mój pchnięty na obszary,
 Jakby lawina, jak odłam granitu
 Spadnie, — w proch zetrze butwiejące wiary;
 I ledwie próchnem świecące ich trony;
 Że głos mój — przez ust pochwycon miliony,
 Zagrzmi jak orkan, jak piorun wśród burzy,
 Że go tysiączne gór echo powtórzy,
 I jako wulkan w straszliwym wybuchu,
 Świat strupieszcząły odmłodni na duchu!—
 Przebóg!... tak cicho!... w krąg sterczące
 skały

Głosu mojego całkiem nie odbiły;...
 Cóż chcieć od ludzi!... gdy echa się skryły...
 Widać, — słów moich powtórzyć się bały...

XVI.

Ha! koniu!... w stepy... tam znajdziem
narody

Z rdzy barbarzyństwa jeszcze nie otarte;
Lecz od spodlonych Parjów, więcej warte
Bo w nich ślad dzikiej pozostał swobody.



III.

BAJGA.

三

五

III.

BAJGA.



I.

Z góry szczytu, niedeptanym szlakiem,
Koń się na dół bystrym puścił biegiem...
Przepaść!... koń mój; jak gdyby był pta-
kiem,

Tylko mignął nad przepaści brzegiem;
Na skał złamy i na gór urwiska,
Jakby Sajga, ¹⁾ lekką piał się nogą,
Potém zwolna, niby zdjęty trwogą
Przez oślizłe zsuwał się łożyska;
A jak wody górnego potoku,

W rzutach, bryzgach, pędzą w skał szczeliny;

Tak mój rumak zdał się zdwajać skoku
Gdy go powiew owionął doliny.

Wolniej koniu!... przez kropliste rosy
Aż tu do mnie dolatują głosy
Niby hasła, gdy je na obszarze,
Obozowe zdają sobie strażę;
Ha! poznaje!... głos przeciągły, dziki,...
To Kirgizów wędrowne okrzyki. —
I z gór jarów, i z lasów kryjówek,
Z brzegów jezior, z sitowia i łąży,
W długich sznurach, jak rój drobnych mrówek, —

Ciągną liczne Kirgizów obozy,
I zbierają się w krąg uroczy ska
Gdzie nawykli obchodzić igrzyska.

Dalej, prędzej... o mój wiatronogi!
W gościnnej jurcie wypoczniesz z drogi,

Tam, oba znajdziem dobre przyjęcie;
Bo gość — u ludów pasterskich, święcie
Jest szanowany. — Koło rodzinne
Pewnie się w większy krąg nie rozszerzy,
Jak serca proste, dzikich pasterzy,
Gdy cię w namioty przyjmą gościnne. —

II.

Na stepie Bajga, — święto nad święta;
Dzień najpiękniejszy w dziejach koczowych,
Bo gdy do drogi jurta zwinięta,
I lud pasterski, z leżysk zimowych
Ma ruszyć w stepy, w których przestrzeni
Wiosna się młodą trawką zieleni;
Pierw — przed rozejściem w daleką drogę,
Na jedno miejsce plemiona mnogie
Zbierać się zwykły; by w drużném gronie
Złatwić spory, zjednoczyć dłonie;
Wspólnie uradzić, — jak które plemię,
Ma zająć bliższe lub dalsze ziemie;

A dzień — z tak ważnym połączon celem,
Kończą igrzyskiem, ucztą, weselem. —

Gdym z gór zstępował — cała dolina,
Którą szumująca Lepsa przerzyna,
Coraz głośniejszym tętniała życiem;
Nowych stad, koni, ludzi, przybyciem,
I gwar się zwiększał, — bo do wód szumu,
Ryk stad, — i odgłos łączył się tłumy;
I wzrosł — gdy ludność stepu zebrana,
Jednym, potężnym, grzmiącym, okrzykiem;
Jakby fal morskich wzburzonych rykiem,
Witała — swego władcę — Sultana. —

III.

Sułtan Kodar — w siedmiorzecznym kraju,
Nad licznymi miał władzę plemiony;
Od skalistych gór Tarbogataju,
Aż do śnieżnej — Ała-ta-hu ściany,
Z przygód, męstwa i rozumu znany,
Od podwładnych kochany i czczony.

Nie przez przodków — choć ich szereg długi,
 Sława jego i zaszczyty wzrosły,
 Ale własne dzieła i zasługi
 Nad powierzchnię gminu go wyniosły.

Młodość jego, — to burza stepowa;
 Wola — gdyby z granitu wykuta;
 Chłopcem będąc — gdy szata zimowa
 Zeszła z ziemi, — on, dwukoń²⁾ berkuta³⁾
 Wziąwszy z sobą, toczył bój zawzięty
 Sam w pustyni, z dzikimi zwierzęty;
 Pośród trudów, siłą skrzepił ręce,
 Gdy się barki rozrosły młodzieńcze,
 Niesłychanej dał dowody siły,
 Gdy z naddziada swojego mogiły
 Głaz ogromny, przez pięciu wtoczony,
 Sam krzepkimi podnosił ramiony.

Później — z laty dojrzały pojęcia,
 Przy ognisku — nie chciał gnuśnieć młody,
 Ale z przygód rzucał się w przygody,
 I w zuchwałe puszczał przedsięwzięcia. —

To na czele zebranój drużyny
Gromił — inne stepowe plemiona,
Mszcząc na synach dawne ojców winy;
I daleka zaznała go strona,
Gdy wśród spólnój, bratnich ziem obrony,
Na łakomych sąsiadów dzierzawy
Krwi i ognia zapuścił zagony,
Imię jego — pełne czci i sławy,
Od Aułu, do Aułu brzmiało⁴⁾
Zasłużoną i szczerą pochwałą.

Nawet kupiec sąsiedniej Bokhary,
Który dotąd rzadko, gwoli trwogi,
Swe zamienne prowadził towary,
Przez stepowe niegościnne drogi. —
Teraz, śmiało wiódł swe karawany,
Ufny, zwiedzał koczowe ognisko,
Bo go lepiej, niżli talizmany
Strzegło... samo Kodara nazwisko. —
To też nigdy — niesłusznie skrzywdzony,
Doń się próżno, z prośbą nie odwołał,

I ciemieżca nie znalazł uchrony,
Gdzieby Kodar dosiądz go nie zdołał. —

O! i czarne, pełne ognia oczy,
Miały powab, potężny, uroczy
Dla Kodara — bo i on był młody,
Piersią serce miotało namiętne.
Mogłoż oko zostać obojętne,
Kiedy uśmiech rozkwitłój jagody,
Błyski źrenic, serc zalotnych strzały,
Do Edeńskich rokoszy go zwały?
I on — nie raz porzucał namioty,
Aby trudów życia, jak najdalej,
Mógł odetchnąć na łonie pieszczoty,
Jak Herkules przy boku Omfali.

Jednej nocy — z miłosnej wyprawy
Wracał Kodar — a koń jego żwawy
Znanym szlakiem przy miesięcznym blasku,
Po stepowym lekko sunął piasku.
Lecz gdy wstąpił w ciemne oczerety,
Co na wyschlém dnie dawnego morza

Rosły bujno, i nakształt oazy
Dzikich pustyń mały bezdroża,
Koń się nagle wstrzymał... cofnął z trwogą,
Ale jeździec w myślach rozmarzony
O pieszczotach, o swą ulubioną,
Nie uważał — pletnią i ostrogą
Zwarł rumaka... ten się wspiał... zuchwałym
Sunął skokiem... i popędził cwałem. —
Tygrys, w trzcinach spoczywał ukryty,
Zwierz okrutny, nigdy krwi nie syty,
Dojrzał zdobycz... wstał... zmierzył ją okiem,
Pomknął... przypadł... i sprężystym skokiem
W kilku rzutach, niby piorun z góry
Padł i konia chwycił w swe pazury,
Koń się rzuca... Kodar chwil nie trwoni
Jak błysk szybki, chwyta gardziel zwierza,
Od uścisku tej żelaznej dłoni
Paszcz tygrysa martwo się rozszerza,
Oczy na łeb wyszły — radby klami
Sięgnąć... skruszyć swego przeciwnika,
Ale jeździec zwinnymi ruchami
Od tygrysięj paszczy się wymyka,

A w zapasach z wrogiem zręcznie, żwawo,
Ujął z siodła czakan⁵⁾ ręką prawą
I ugodził tak potężnym razem,
Że łeb zwierza rozpękł pod żelazem. —
Tygrys — u stóp zwycięzcy legł trupem,
Kodar zskoczył... i opatrzył rany
Swego konia — a na znak wygranej,
Wziętym z wroga drapieżnego łupem,
Zdarta skórą, na miejsce czapraka,
Okrył swego rannego rumaka. —
Czyn ten — obiegł przestrzenie stepowe,
W ustach ludu wzrósł w kształty olbrzymie,
A gdzie tylko ognisko koczowe
Rozniecono — gdzie jurta Kirgiza
Odpoczęła — tam sławiono imie
Bohatera, pogromcy Tygrysa. —

IV.

Takim był Kodar — dopóki był młody
Mąż wielki, chociaż syn dzikiej przyrody,

Jéj tchnieniem owian, nawykł od powicia,
Do walk, do trudów, do czynnego życia,
Krag mu rodzinny był ciasny — za mały
Dla wrzących chęci, co się z piersi rwały
Jak ptaki z gniazda, dla których nasytu,
Brakło i stepów i niebios błękitu,
Świat go czarowny wabił i porywał,
W kwiecisty eden, gdzie mu ukazywał
Promienną sławę;... jednego promienia
Pragnął młodzieniec, — bo to była chwila,
Myśli — co wszystko rada w czyn zamienia;
Woli — przed którą wszystko się uchyla.

Inny dziś Kodar — cichy i spokojny,
Syt sławy — młodszym zostawił chęć wojny,
Wiek mężki — nie mógł ducha w nim ostu-
dzić,
Osłabić ręki — ale nad zdobycze
Przeniósł — pasterskie życie koczownicze,
A lwa śpiącego, nikt nie śmiał przebudzić.
Dziś licznych plemion stawszy się sułtanem,
Chciał im być ojcem, pragnął być kochanym

Od swych podwładnych, a władzą rozumu,
Cześć i szacunek pozyskać u tłumu. —
Nie łańcuch podłych ogniw niewolnika,
Łączy sułtana do plemion podwładnych;
Kirgiz — Człęk wolny, praw mu nie zdał
żadnych,

Jak wiatr w pustyni, zapór nie spotyka,
Tak on, swobodzie swój nie widzi końca,
Póki ma stepu, powietrza i słońca,
Za cóż rozkazów jego chętnie słucha?...
Przed wolą jego, chyli się w pokorze?...
Bo czuł w prostocie, choć nie jasno może,
W nim wyższość!... iskrę nieśmiertelną du-
cha. —

Takim był sułtan — kiedy na rumaku
Białym — i w Bijów poważnym orszaku
Wjeżdżał do środka; i przez lud zebrany,
Grzmiącym okrzykiem został powitany.

V.

Co było w stepie zgromadzonych mężów
Tak razem na koń, wszyscy do oręży,
Rwą się, i w hufiec jednoczą się zbrojni.
Lud konny — radby rycerskim popisem
Przed najdzielniejszym Batyrem-Kirgizem, ⁶⁾
Okazać swoją gotowość do wojny. —
Lecz jak opisać tłum ludzi i koni
Tak różnej barwy, tak rozlicznej broni? —
Temu łuk z ramion i kołczan się jeży,
Jakby z Timura przybłąkał się czasów,
Inny w kołczudze — niby duch rycerzy,
Ze średniowiecznych wskrzeszony zapasów
Wstał, wziął zardzałą misiurkę i zbroję,
Mumia, — w żelazne spowinięta zwoje,
Temu, — jak sosna wystaje z za grzbietu,
Gwintówka, czy też rodzaj falkonetu,
Ci, zbrojni w strzelby, ajbałty, mułtyki, ⁷⁾
Miecze i szable, noże i kindzały,
Ci w drzewce — długie, nakształt masztów,
tyki,

Tłum się poruszył — i przed swym suł-
tanem,
W największym pędzie, choć w niesfornym
szyku,
Przy najstraszliwszym, najdzikszym okrzyku,
Przeciągał w hufcach — kurzawy tumanem,
Jak chmurą czarną, nakrył się, omroczył.
Konie i jeźdźcy, wszystko na raz ginie,
Tylko kłęb został co z szumem się toczył,
Niby Huragan przez piasków pustynie.

VI.

Ledwo się popis skończył — ludność cała,
Na plac wyścigów z krzykiem pobieżała,

Tam tętno życia. — Najlepsze rumaki,
 Na bieg daleki przyuczone z młodu,
 Jeźdźcy — to dziarskie i zwinne chłopaki,
 W jeden rząd długi, stają do zawodu,
 Już się puscili... o! meta nie bliska!...
 Szóstą część nieba, musi przebiedz słońce,
 Nim po nagrodę, do stóp uroczyska,
 Powrócą pierwsi, najspieszniejsi gońce.
 Lecą... jak z miejsca ruszyli... wciąż spo-
 łem,

Jeźdźcy przygięci... wyciągnięte konie...
 O! mogli wtedy w zakład pójść z sokołem,
 Że mu w tym pierwszym zrównają prze-
 gonie,
 Zda mi się na piórach... nie dojrzysz jak
 ziemi,

Dotkną kopyty... tylko pył za nimi,
 Szlakiem od rwącej wyrzucany nogi,
 Zdradza — że lecą nie ptasiami drogi.^{s)}
 Już znikli... powiew, wzbity tuman zwionął,
 I głucho — jakby jeźdźców step pochłonał.

Tłum widzów z serca niespokojném bi-
ciem,
Patrzy — i czeka za gońców przybyciem,
To gra o zaszczyt, nie jeźdźców, lecz ple-
mion,
Biegną na wzgórze... wspinają się z strze-
mion,
Każdy rad w dali, najpierwszy znak chwytać,
Z niego — zwycięzcę odgadnąć... powitać.

Już pył... krzyk w tłumie — już tuman
jak wstęga...
Już jeźdźcy... widać, jak jeden po drugim,
Z granic błękitnych, wstają widnokręga,
I w step się sznurem rozciągają długim,
Ha!... kilku w przedzie, przez krzyki, przez
znaki,
Radzi widzowie przemienić ich w ptaki,
Nie dość im szybko... biegną na spotkanie,
Pletnią ich pędzą... ciągną na arkanie,
Co krok... pomknięty lub spóźniony zwierza,
Ich serce mocniej lub słabiej uderza. —

Już dwóch najbliższych!... koń wrony i siwy,
Obadwa w pianie, rozrzucone grzywy...
Rozdęte nozdrza... dwie świszczące strzały...
Tuż meta... w piersiach oddechy ustały,
Aż okrzyk w tłumie wybuchnął zebrany,
Oba stanęli razem przed sułtanem. —
Sułtan w nagrodę, płat materji drogięj,
Rozdarł — i rzucił zwycięzcom pod nogi.

VII.

Kiedy starszyczna zamknąwszy się w koło,
Ważnemi plemion zajmuje się sprawy,
Młodzież stepowa, pędzi czas wesoło,
A koń — to dusza igrzysk i zabawy,
Bo Kirgiz — prawie na koniu się rodzi,
Pierw jeździć umie, niż po ziemi chodzi,
Koń — jak powietrze, jak step, i jak niebo,
Stał mu się życia codzienną potrzebą.
Smutny czy wesoł — w nim ma przyjaciela,
Co rze w radości, i smutek podziela,

A gdy wypuści na obszar bez końca,
 I sam — wiatr tylko nad morzem traw szumi,
 Szczęśliw, że jedna istota żyjąca,
 Jego uczucia dzieli i rozumie.

VIII.

Śród igrzysk — słońce zaszło po za góry,
 I wieczór cichy, pogodny, majowy,
 Z niebios płynących zachodniej połowy,
 Przygaszał blaski jaskrawe purpury,
 Coraz to rąbki zarzucał najbledsze,
 I tuman lekki unosił w powietrze.
 To czas modlitwy, — wstał Mułła sędziwy,⁹⁾
 Odśpiewać namaz¹⁰⁾ — umilkł tłum zgier-
 kliwy,

Ucichły szepty, a schylone czoła,
 Postawy korne, w ślad za zaszłym słońcem,
 I głos kapłana nad gronem milczącym,
 I uroczysta chwila — i do koła
 Rozległa przestrzeń pustynnego kraju;
 Rzekłbyś — nad niemi ciągnął duch proroka,

I wskroś zasłony, cielesnego oka,
Wiernym — rozkosze ukazywał raj.

IX.

Skończył się namaz, i ostatnie dźwięki,
Skonały w stepie — gdy ludność kirgizka
Ochoczych gęśli, posłyszawszy brzęki,
Tłumnie rozdęte obległa ogniska,
Przy których, w kotłów klekocącym warze,
Podali ucztę, stepowi kucharze,
Sultan i starzy wiekiem i rozumem,
Przedniejsze miejsca zajęli przed tłumem.
Już stosy mięsów, z baranów i koni,
Znikły — czerną głodną, chciwie rozchwyciła,
Dymiący przysmak, i nie w jednej dłoni,
Łopatka końska, lub goleń świeciła,
Z której biesiadnik zębem strawę zrywał,
W postawie — jakby na fletni przegrywał.
Nie dziw — lud prosty nie znał co wygody,
Co stół wykwintny i dzikięj przyrody

Nie ułagodził formami sztucznemi,
 W ręce brał pokarm, jadł siedząc na ziemi,
 Co mu Bóg zesłał pożywał bez braku,
 A wygłodzony w trudach całodziennych,
 Nie potrzebował kłaść przypraw korzennych,
 Aby zaostrzyć stępiony zmysł smaku,
 W prostocie ducha czuł rozkosz nie małą,
 Gdy mógł nasycić utrudzone ciało —
 I kiedy jeszcze do tych nieba darów,
 Popłynął strumień stepowych nektarów;
 Gdy Kumys — krążąc nawroty licznemi
 Pienisty, okrył perłami śnieżnemi,
 Powierzchnią czaszy, którą w dłonie obie,
 Ujął biesiadnik... wtenczas cóż miał żądać?
 Chyba... by taką, gdy już spocznie w gro-
 bie, —
 Raz jeszcze w raju, proroka oglądać. —

X.

Przy ogniu, który starszyzna zebrana
 W prawo i w lewo, od swego sułtana

Obsiadła, we dwa schodzące się łuki;
Wystąpił Bakczy, ¹¹⁾ — i różnemi sztuki,
Łamaniem ciała, mimiką szaloną,
Pragnął poważne rozweselić grono,
A lud — widowisk i zabaw nie syty,
Zbiegał się, tłoczył, ustawiał rzędami,
Jeden nad drugim, głowy nad głowami,
Rosły jak piętra, jak mur jednolity,
Tak, że ognisko złocąc swemi blaski,
Koła za kołem, téj dziwnej opaski,
Zdało się, gwiazdą strąconą wśród cieni,
W okrąg fantastycznych ujętą pierścieni.

XI.

Bakczy się rzucał, wyginał i krzywił,
Wywodząc z gardła, głos dziki zwierzęcy,
Im mocniej wrzeszczał, im łamał się więcej,
Tém lepiej widzów i bawił i dziwił;
Poczarne gesta i najdziksze ruchy,
Wzniecały w tłumie radości wybuchy,

Lecz, najśmieszniejszą dla widzów miał po-
stać,

Kiedy z potężnej misy napełnionej
Po brzeg Kumysem, ¹²⁾ zębami chciał dostać
Pieniążek srebrny na jój dno rzucony,
Jak się przyczajał, potem oczy mrużył,
Kiedy się twarzą w kumysie zanurzył,
Jak się następnie podrywał od ziemi,
I strząsał z płynu, którym był oblany,
Każdy raz, takiej próby nieudanej,
Lud, obsypywał śmiechy szalonemi. —
I téj uciechy, nie byłoby końca;
Chociażby Bakezy aż do wschodu słońca
Ponawiał próby, i ciało swe trudził,
Aniby widzów nasycił ni znudził. —

Ale się ozwał śpiew tęskny i miły,
I wszystkich oczy razem się zwróciły,
W kierunku głosu, tłum w okrąg skupiony,
Otworzył przejście, i na środek koła
Z postawą, z której pierzchła myśl wesola,

Powolnym krokiem za rękę wiedziony
Wszedł śpiewak...

X.

Miejsce zaszczytne mu dali,
Obok sułtana — a choć niewidomy,
Z pieśni szeroko w stepie był znajomy,
Jak Chodźże, ¹³⁾ jego szatę całowali,
Gdzie się ukazał, zbierały się tłumy,
W ślad za nim biegły, kędy się obrócił,
Bo im do serca były tęskne dumy,
Ślepy — wesołych już dawno nie nucił,
I gwar umilkął, skoro pierwsze dźwięki,
Z pod jego biegłej wypłynęły ręki.

Tam widzieć trzeba, jak stepu synowie,
Pojmują wieszczą, gdy im go Bóg zdarzy;
Ile radości błyszczy na ich twarzy,
Jaka potęga, w jego każdym słowie,
Niebo, step, konie i życie pastusze,
Tłem jego pieśni — z którego ciąg zdarzeń

Snuje w natchnieniu — i proste ich dusze
 Porywa z sobą do krainy marzeń. —
 Ich lica, to jak zwierciadło bez skazy,
 Na którym — władzą słowa czarnoksiężką,
 Pieśń — w rzeczywiste kształci się obrazy.
 Zaledwo nutę posłyszają zwyciężką,
 Im się wydaje, że już nogą jedną,
 Stoją w strzemieniu, oczy blaskiem świecą;
 Jurta i śpiewak z przed ich wzroku błędną.
 Czują step w około i siebie na koniach,
 Ich oczy, myśli ich, uczucia lecą.
 Niedoścignione, jak wichry po błoniach,
 Pieśń brzmi, i długo tłumiony w płuc cieśni,
 Okrzyk wojenny, co dotąd nieśmiało,
 Z piersi słuchaczów zrywał się — nawałą.
 Jak wtór piekielny wybuchnął wśród pieśni.

Śpiewak — łagodniej struny gęśli trąca,
 I niby jutrznia, majowej urody,
 Na dzikie lica, zstąpił blask pogody,
 Uśmiech — jak promień wschodzącego
 słońca,

Na chmurne czoła, złoty połysk ciska,
 I pieśń wesola, z różnych stepu końców,
 Przed chwilą wrzących rozproszonych goń-
 ców

Zbiera — i w jurcie sadzi u ogniska,
 Znów śpiewak ujął w posłuszeństwa karby,
 Słuchaczów serca — lecz niechże ton zmieni,
 Niech do obrazów żywsze weźmie farby,
 Niech do swój nuty dorzuci płomieni,
 A jak w noc czarną, kiedy stepy płoną,
 Niebo się smugi krwawemi oświeca,
 Takim pożarem wre namiętne łono,
 Tak krwawa łuna oświecła ich lica,
 Śpiewak — to jedna dusza pośród koła,
 Która wszechmocnie każdym nerwem włada,
 Dotknie strun — piosnka popłynie wesola;
 I zaraz radość huczy jak kaskada.
 Uderzy w smutne, już obraz odmienny,
 Jak gdyby wichur przeciągnął jesienny.
 Każda twarz — barwy przybiera posępne,
 I oko, w bólu na łzy niedostępne. —
 Widzisz — jak rzewnym zanosi się płaczem.

O! w takiej chwili, i z takim słuchaczem,
 Niechaj kto rzuci gorejące słowo,
 Myśl straszną, niby chmurę piorunową,
 A świat ten zburzy. — Oby się mógł zjawić
 Wieszcz, coby takim wszechmogącym słowem,
 Zdołał go życiem opromienić nowém,
 I raz z tych więzów ciemnoty wybawić.

XIII.

Do was się zwracam, piewcy mojej ziemi!...
 Gdy Bóg w twą duszę piękności zarody
 Rzuci, jak gwiazdy palące — którei
 Błyśniesz, zaświecisz, ... słuchaj bracie młody,
 To ogień niebios, tyś jego kapłanem;
 Jak ołtarz Westy, chroń go nieskalanym,
 Strzeż — jako arki starego przymierza,
 I pierwszych iskiei, myśli twojej plonów,
 Nie rzucaj płochy na pastwę salonów.
 Boś ty skowronkiem w cudne odzian pierza,
 Nad poziom martwy, masz wznieść się —
 i śpiewać

I wiosną tonów, skrzepły świat ogrzewać.
 A tu — z złoconém czekają cię sidłem,
 Wabią, i skoro upłączesz się skrzydłem,
 Olśnią cię blaskiem nieszczerój pochwały,
 Lot twój wylamiał dowcipy ostremi,
 Z piórek oskubią, — z tych marzeń co miały
 Wzniesć cię pod niebo — byś pełzał po
 ziemi.

A potem puszcza — cóż poczniesz? bez pióry,
 Rozczarowany — czyż wzlecisz do góry?...
 O! raczej dręcz się wiecznym niepokojem,
 Że między bracią nikniesz zapoznany,
 Boś ty Oazą, tą palmą nad źródłem,
 W ogromie pustyni, liczne karawany
 Zdala ominą, a rzadko zbłąkany
 Przyjdzie wędrowiec, spocząć pod twém cie-
 niem,

I zwilży usta spalone pragnieniem. —
 Królestwo twoje, nie z tego jest świata,
 Nie tu, a wyżej namaszczeń zapłata,
 Tu — nędza, zawiesz lub szyderstwo czelne,
 A chcesz nagrody, poświęceń i trudu!...

Masz serce ludu, więc śpiewaj dla ludu,
A pieśni twoje będą nieśmiertelne.

Bo pieśń — to boskie w dziejach ludów
słowo!

Jako piastunka, nad dziecięcia głową,
Tak, lud niemowlę, kołysze i pieści,
Czarownym wątkiem cudownych powieści,
Później — jak dziewczę, w dniach pierwszej
miłości,

Namiętą iskrą jednego spojrzenia,
Młodzieńcze piersi ludu, rozpłomienia
Urokiem, — szczęścia, sławy i wielkości. —
A gdy lud kona — jak matka w żałobie
Boleść swą w jęki przelewa i łkania;
I długo — pomnik mchem zrosły na grobie;
Mgłą nieśmiertelną jak krepą osłania. —

XIV.

Ha! wróćmy na step, zasiąść u ogniska,
Gdzie gęśl śpiewaka, jak owe zjawiska

Gajów i jezior, w piaskach Kara-kumy ¹⁴⁾
Słuchaczów, w rajske rzuciła zadumy. —

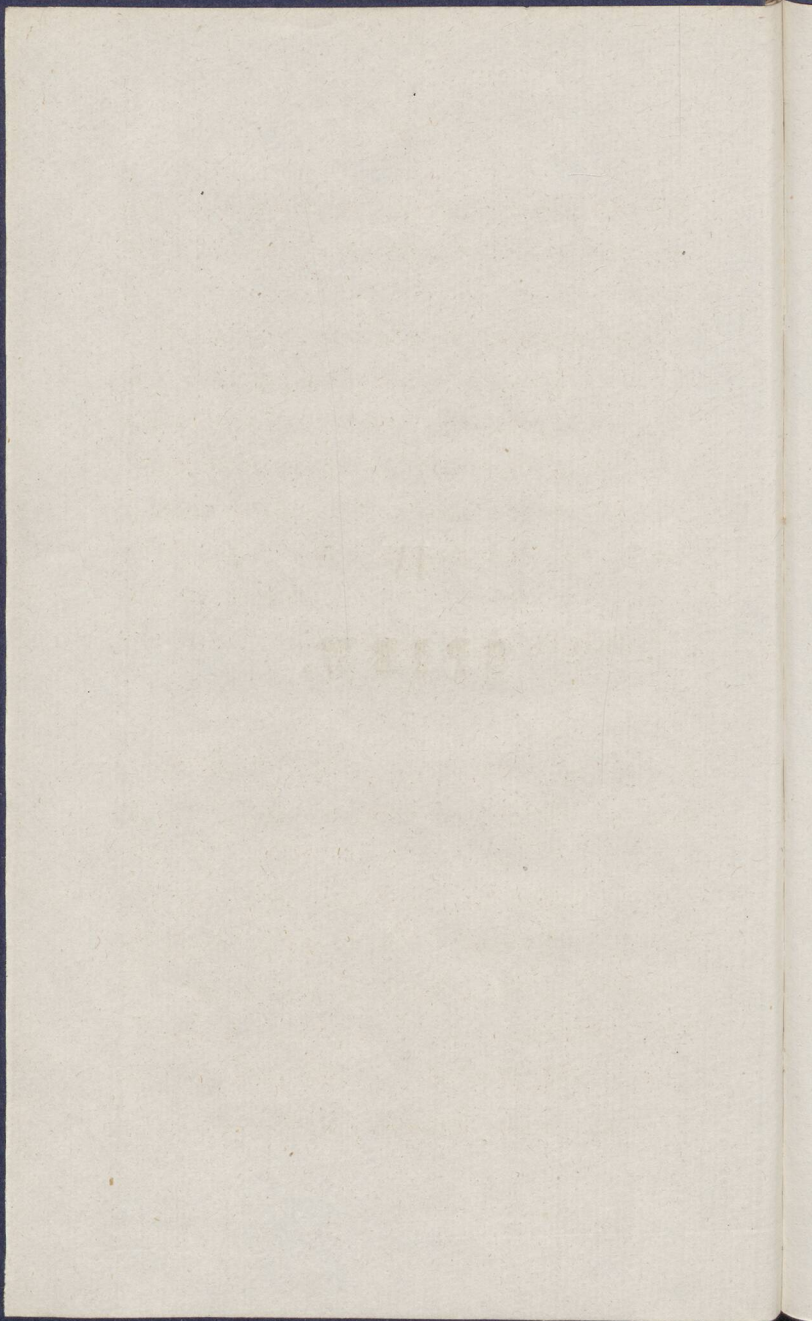
W długiej pieśni, nucił śpiewak ślepy;
To barantę; to rozległe stepy,
Dziwów nieba i ziemi niemało;
Urok oka, kirgizkiej dziewczyny,
I rycerzy błędnych śmiałe czyny. —
O! w tej chwili wyznam, mnie się zdało,
Że to minstrel feodalnych czasów,
W jakim zamku odwiecznym Dugłasów,
Przez czarowne wiedzie mnie krainy.

Śpiew już umilkł, słuchacze się bali,
Przerwać ciszy — widać, że czekali
Dalszych pieśni — śpiewak pojął chęci
Myślą — czerpnął ze źródła pamięci,
Lecz pod ręką, wikłały się tony. —
Chwilę dumał, potem snąć strudzony,
Wstał — i tylko jakby na podziękę,
Przed odejściem — zanucił piosenkę. —



IV.

SPIEW.



IV.

Ś P I E W.



I.

Co najdroższego miał śpiewak ubogi,
Wszystko wam oddał, bierze tursuk ¹⁵⁾ pró-
żny,

Nowych doń pieśni, uzbierać śród drogi;
Tylko, gdzież ślepy znajdzie ich podróżny?...
Oczy mu zaszły czarną wieczną nocą,
Nie widzę wschodu, ni zachodu słońca,
Ani gwiazd, które tak cudnie migocą,
Ni stepów, tego kobierca bez końca,

Który wam wiosna, tysiącem farb kwieci,
Nie widzę ciągu kaczek, ni żórawi,
Ni jeźdźca, kiedy jak wiatr przez step leci,
Ni orła — kiedy pod niebem się pławi,
Wzrok mój — jak popiół wytłwały ogniska,
Żadną już iskrą w piękny świat nie pryska,
I odbłask żaden od cudnej przyrody,
W nim się nie przejrzy, jak w czystym szkle
wody;

To chyba cieszy, że nie widzę rzeczy
Na które wzrok się zasmuca człowieczy.

II.

Nieraz — gdy noc mnie wśród stepów za-
stanie,
I na grobowym przylegę kurhanie,
Sen nie przybywa — myśl pomimo chęci,
W ubiegłych czasów błąka się pamięci,
Posłuszna ręka, zaraz w akkord trąca,
Jakby w nim była siła czarująca.

Duchy praojców, po gwiazdy promieniu,
 Schodzą, by śpiewu posłuchać w milczeniu.
 Widzę ich wtenczas — niecielesném okiem,
 Jak w zadumaniu, poważném, głębokiém,
 Stają nademną, chwytają słów dźwięki,
 Czy w nich ślad znanój, pozostał piosenki?
 Oni — od stepu, od synów chcą wieści,
 Owianych wonią rodzinnego kraju,
 Cóż im zaśpiewam?... jęk chyba boleści
 Z piersi wyrwanój!... odniosą do raj. —

III.

Miałem ich smucić — najsmutniejszym
 pieniem? —
 Że karawana dręczona pragnieniem,
 Nie znajdzie źródeł, gdzie płynęły wprzód,
 Schną serca ludzi — i w stepach schną wody,
 Pustynia serca, sroższe ma postępy,
 Niż wichrem piasku, rozrzucone kępy?...
 Miałem ich smucić?... że ciągle pomory

Niszczą nam stada, zmniejszają obory,
 A nad pomory — zawiść wściekła plemion,
 Co tylko żywe, przykuwa do strzemion;
 Wieczne najazdy... baranty krwią zlane,
 Stepy w płomieniach, a szlaki zasłane
 Trupy końskimi — ćma czarnego ptastwa,
 O łup ten walczy, z tysiącem żebractwa.¹⁶⁾
 I miażdżem kończąc, smutne me wyznania!
 Rzec, duchom ojców — o! dnia zmartwych-
 wstania

Nie oczekujcie!... spiesznie zbierzcie koście,
 W głąb niedostępnych pustyń je unoście,
 Bo złe — jak pożar stepu się rozszerza;
 Wszak, brat już brata, poluje jak zwierza;
 Matka za strawę sprzedaje swe dzieci;
 I mąż się podli, dla fraszki co świeci. —
 A wróg w krąg czycha — jak żelazem ściska,
 Wydiera bujne ślad naszych pastwiska;
 Wkrótce się każe zaprzeć i nazwiska.

Gdzie mąż tak prawy, lud tak dzielnej ręki,
Tam jeszcze śpiewak, nie traci nadziei,
Że może kiedyś w dalszych lat kolei,
Piękniejsze z gęśli, wysnuje piosenki.



